

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

5)

— To cała historia — przystanęła na schodach, a widząc, że młodzi nie bardzo są zaciekawieni, zwróciła się do Czajkowskiej: — pewno pani słyszała o Merckim?... Co? nie? A przecież całe miasto aż się trzęsie... tu właśnie mieszka jego żona z dwógiem dziećmi — poszła o dwa schody wyżej i znów przystanęła. — A wie pani, co on zrobił?

— Nie.

— On w urzędzie, bierze trzysta koron miesięcznie, a jej z dziećmi daje połowę, a sobie bierze drugą; czy to sprawiedliwie? czy to po bożemu? od czegoś ślub? — A tak, tak — szła dalej. — Ale gadaj tu chłopu, on zawsze swoje, a ona teraz bieduje, bierze pół funta mięsa i to tylko trzy razy na tydzień... Nie ma czym zapłacić lokal i wyprowadza się.

— Biedna kobieta — westchnęła ze współczuciem Czajkowska.

Te słowa podnieciły stróżkę i zaczęła opowiadać szybko:

— Ona z dobrej rodziny, jej matka ma dom i ogród w Grybowie. Ptasiego mleka nie brakowało jej w domu, ale zachciało się jej męża... no i masz teraz. Smietanki już nie bierze, tylko mleko, a nie trzeba pani mówić, jakie to u nas mleko, na pół z wodą. Bułek nie bierze, zupkami żyje, a ten sobie używa, jak hrabia.

Weszli na pierwsze piętro i Roman rzekł niecierpliwie:

— Chodźmy prędzej!

— Ba, gdybym była młodsza — uśmiechnęła się stróżka — ale mi ciężko, muszę odetchnąć, a i tak dojdziemy na czas — posuwała się wolno i patrząc na Irenę, dodała — tak to, panienko, żadnemu mężczyźnie nie można dowierzać.

— No, nie każdy jest zły — powiedziała Irena rozbawiona.

— W każdym złe siedzi, a jak żona nie dopilnuje, już i po szczęściu. I on niczego był sobie, dobry pan, ale przychodził po zamknięciu bramy, a ona na niego, ty taki, ty owaki, a hulasz, a tracisz, nie chcę ciebie i wywróżyła, poszedł sobie i teraz miodem go nie zwabisz.

Stanęli na drugim piętrze i stróżka zadzwoniła. Otworzyła im drzwi niska, szczupła blondynka, z twarzą przywidniętą, w szlafrocuku poplamionym, włożonym niedbale.

— Przyprowadziłam, proszę pani, nowych lokatorów. Panusia pozwolą, że zobaczą pokoje.

— Może nareszcie skończą się te oględziny — przemówiła niemiłym głosem — proszę.

— Przykro nam, że niepokoiimy panią — usprawiedliwiał się Roman.

— Trudno — przerwała mu — muszę to znosić.

Mieszkanie składało się z dwóch pokoi frontowych i jednego ciemnego od podwórza, który pasażem łączył się z kuchnią. Stosunkowo do innych widzianych były czyste i wygodne.

— Jak wysoki czynsz? — spytała matka.

— Myśmy płacili sto koron — zaczęła gospodyni.

— Sto pięćdziesiąt miesięcznie — przerwała jej stróżka — inaczej nie odda pan gospodarz.

— O drogo! i taka nagła podwyżka.

— Może i drogo — tłumaczyła stróżka — ale Królewscy taki najazd zrobili, że wszystko podrożało, żyć trudno.

— A jaki gospodarz, proszę pani? — spytała Czajkowska, pamiętna na ostatnie spotkanie.

— Gospodarz? — wzruszyła ramionami — grzeszny, ale kamienicznik. Jeden drze bez rękawiczek, drugi w rękawiczkach, ale dra obydwaj. Ma pani przykład: ze stu koron podskoczył na sto pięćdziesiąt.

— Cóż dzieci myślicie? — spojrzała na stojących.

— Brac — odpowiedział krótko Roman.

— Hm... i ja tak myślę, a ile to, Romciu, na nasze pieniądze?

— Do sześćdziesięciu rubli.

— A pani też z Królestwa? — ożywiła się Mercka. — i pani tu zamieszka?

— Tak jest.

— Proszę do saloniku... niechże państwo spoczną — wskazywała na krzesła.

— Dziękuję pani — odrzekła, siadając, trochę zdziwiona nagłą uprzejmością.

Rozwiązanie nie dało na siebie długo czekać.

— Czy pani sprowadziła się z Królestwa z meblami?

— Niestety, sprzedaliśmy — westchnęła.

— A może pani kupi moje meble ze salonu... Jak pani widzi, prawie nowe, eleganckie, gustowne, sama wybierałam.

— Pani zamierza sprzedać?

— Dziwi to panią, bo pani nie tutejsza — zaczęła mówić szybko — ale całe miasto wie o moim nieszczęściu. Zaniedbywał mnie i dom, przychodził późno, tracił, aż wyszło sztydło z worka... usiłowała go na pewno inna. Znosiłam do czasu, aż i mnie cierpliwości nie stało i rozstaliśmy się... Dlatego też sprzedaję te śliczne meble, pani potrzeba, więc kup je pani. Sprzedam za bezcen, niżej kosztu, za... pięćset koron, tylko za pięćset.

— To dla mnie za drogo... a kiedy pani się wyprowadza?

— Za drogo! Pani chyba żartuje — i zaczęły się pochwały mebli.

Nie pozwoliła wyjść Czajkowskim i stopniowo zniżała cenę, wreszcie doszła do dwustu koron. Jednak mimo, iż Czajkowsy zgodzili się na kupno mebli za tę cenę i dali sto koron zadatku, nie chciała opróżnić mieszkania, aż dopiero ósmego października i do tego czasu musieli pozostać w hotelu.

VI.

— Romciu, jak myślisz, czy otrzymasz tu jaką posadę? — spytała matka.

— Nie wiedziałem, że mama jest — odezwał się z drugiego pokoju i odłożywszy książkę, przeszedł do numeru matki — a gdzie Irenka?

— Poszła kupić parę drobnostek, zaraz wróci... Czy spodziewasz się Romciu, że ci się powiedzie?

— Muszę wpięć poznać stosunki przemysłowe i handlowe Krakowa i dopiero będę wiedział.

— Ale jak myślisz? Jestem taka niespokojna — westchnęła — czy wiesz, ileśmy wydali za sześć dni?

— Ile, mam?

— Sto dwadzieścia rubli.

— O, to dużo! — zmarszczył brwi ciemne — czy to z podróżą?

— Tak jest i z zadatkiem na meble, ale bez opłaty rzeczy, wysłanych koleją. Może chcesz zobaczyć rachunki, mam zapisany każdy grosz.

— Nie, mam, wierzę najzupełniej w rachunkowość mamy — uśmiechnął się przyjemnie.

— A ile wydatków nas czeka! — westchnęła — i skąd brać na to, jeśli zostaniesz bez miejsca?

— Moja mam, ja się nudzę bez pracy, bez zajęć. Odwykłem najzupełniej od życia próżniacza i żeby chociaż do miasta było żywe, ruchliwe, energiczne, ale takie senne, powolne, ospałe; tu każdy ma czas na zbyciu, nikt się nie spieszy, nikomu nie jest pilno do swoich spraw. Posłańcy chodzą jak emeryci, nawet konie dorożkarskie, albo śpią na stanowiskach, albo biegną lekkiego truchcika.

— Tak ci się tylko wydaje, po gorączkowym życiu warszawskim. Nudzisz się, więc patrzysz pesymistycznie.

— Nie, mam, sam ze sobą wcale się nie nudzę, posiadam zresztą książki, ale mam uczucie nudy dlatego, że nie pracuję celowo; nie mam tej podniety, którą daje czynne życie.

— A teraz co czytasz?

— Historię Krakowa, bardzo ciekawa i pouczająca.

Weszła Irena z małym pakietkiem w rękę.

— Kupiłaś wszystko?

— Dużo tego nie było — zaśmiała się, zdejmując kapelusz i rękawiczki — bawelny dwa kłębki, trochę nici, igieł, szpilek i koniec, ale oni tu powolni, ociężali. Sama chciałam sięgnąć po pudełko, tak opieszale się ruszają. I publiczność jest do tego przyzwyczajona, było dosyć kupujących w sklepie i ani jedna osoba nie była zniecierpliwiona. Tu mają wszyscy czas! — śmiała się.

— A co, mam! — zawołał Roman — Irenka mówi to, co ja, a już ona na pewno nie jest pesymistką.

— Czy drogo tutaj?

— Nie, prawie to samo, co w Warszawie.

Wtem zapukano do drzwi i wszedł radca, a za nim młody człowiek, jasny szatyn, wystrojony ze sztuczną elegancją.

— Przepraszam cię, Sabinko, za zwłokę — ucałował radca jej rękę — a to mój syn, Władysław, prawnik na ukończeniu.

Syn zdjął pospiesznie palto, szeleszczące jedwabną podszewką, powiesił starannie na szaragach i z kapeluszem, w urękawicznionych rękach, skłonił się ze sztywną powagą obecnym, następnie miarowym krokiem podszedł do Czajkowskiej.

— Miło mi bardzo powitać ciocię — ucałował jej rękę — i niezmiernie żałowałem, że obowiązki moje nie pozwoliły mi być w domu w czasie łaskawych odwiedzin cioci i kuzynków — skłonił się w stronę Ireny i Romana.

— Ależ urosłeś, Władziu, zmężniałeś — ucałowała go w czoło — proszę, siadajcie, czy Paulisia zdrowa?

— Zdrowa, była u ciebie z Klimcią, ale was nie zastała.

— To dziwne, że mi biletów nie doręczono.

— O, Paulisia nie ma biletów, na co jej? — i zaczął opowiadać, kiedy i przy jakiej sposobności Paulisia wyszła z domu na wizytę.

Władzio, z niskim ukłonem, podał rękę Irenie, przypatrując się jej uporczywie, a z Romanem przywitał się ceremonialnie. Ubrany w czarny angiel i jaśniejsze spodnie, nieposzlakowane odprasowane, usiadł sztywnie na krześle, z kapeluszem w rękę. Roman patrzył na niego, trochę rozbawiony, trochę zgorzany i rzekł swobodnie:

— Zdejm, kuzynie, rękawiczki, odłóż kapelusz, przecież my swoi.

— To jeszcze nie upoważnia do zaniedbania form towarzyskich — poprawił wysoki kołnierzyk, który, zdawało się, że podtrzymuje jego szczęki i brodę — z tobą, kuzynie nie robiłbym tych ceremonii, przyszedłbym w tuzurku, nie w *szlusroku*, jak wskazują przepisy dobrego tonu.

— Zwalniam cię, kuzynie, ze wszystkich praw, przepisów, paragrafów dobrego tonu — zaśmiała się Irena — bądź sobą.

— Właśnie nim jestem i gdybym był tak miły i piękny, jak ty, kuzynko, mógłbym gardzić przepisami, bo piękne panie dyktują prawa towarzyskie, ale ja należę do płci brzydkiej — spuścił skromnie oczy.

Irena rozbawiona spojrzała na niego bacznie. Włosy, z przedziałem z boku, były tak starannie przyczesane, że robiły wrażenie peruki; wygolona twarz, trochę zmięta, z podkrążonymi oczami, świadczyła o zbyt wesołym, nocnym życiu; jedno tylko oczy, żywe i błyszczące, mówiły o młodości.

— Jeśli kuzynowi z tem wykrochmaleniem do brze, nic nie mam przeciw temu.

— Otóż to prawdziwa filozofia życia — skrzywił usta do uśmiechu.

— Jakaż to?

— Godzić się z tem co jest i jak jest, a życie płynnie wygodnie.

— Czy ty, kuzynie, mówisz to na seryo? — odezwał się Roman.

— Najzupełniej, nie jestem stworzony na bocią, ani na kaznodziejstwo moralności. Biorę świat takim, jak jest i to mi wystarcza — mówił tonem pewności siebie i z dumą doświadczonego człowieka, wygłaszającego zdobytą samodzielnie prawdę.

— I potrafisz, kuzynie, tak żyć? — oburzyła się Irena — nie będziesz zwalczał krzywdy, niesprawiedliwości, wyzysku, przemocy?

— Zapalas się, kuzynko! — uśmiechnął się z wyższością — tak źle u nas, w Galicyi, nie jest. My żyjemy w państwie uporządkowanem prawnie. Każdy wie, że, pod grozą więzienia, nie może popełnić nadużyć i rząd czuwa nad tem. U nas wszyscy są bezpieczni i spokojni. Ferment niezadowolenia i bezprzedmiotowej krytyki wnoszą do nas ludzie z za kordonu, ale bez żadnych widoków powodzenia.

Ojciec, słysząc, że jednak mówi, przerwał rozmowę z Czajkowską, słuchał z szacunkiem i dumny z mądrości syna, czekał uznania.

— Tak może mówić filister w szlafroku i pantoflach — wybuchnęła Irena — nie ty, kuzynku, taki młody.

— Mądrość nie zawsze idzie w parze z wiekiem — uśmiechnął się ironicznie — zresztą filozofia nie nadaje się do towarzyskiej, salonowej rozmowy. Mówmy o weselszych tematach... jak kuzynce podobał się Kraków?

— Nie znam go jeszcze.

— O, nasze miasto jest piękne i jeśli kuzynka pozwoli, będę ciceronem dla państwa — spojrzał na ciotkę i Romana.

— Istotnie Władysław zna Kraków doskonale — pospieszył ojciec — i trudno o lepszego przewodnika.

— Czy on się urodził tutaj? — spytała Czajkowska.

— To nie, ale od dziecka wychował się w Krakowie i tu kończył szkoły i uniwersytet.

— Skorzystamy, Władziu, z twej uprzejmości — mówiła ciotka — oprowadzisz nas po Krakowie; wyznacz nam czas, bo wiem, że pracujesz.

— O, wybór czasu zostawiam cioci i kuzynce, jestem zawsze na usługi pań.

Ojciec zaniepokoił się trochę, bo i tak dość czę-